

Dobre strony siedzenia przed telewizorem

Widziane z morza

Moi koledzy wrócili właśnie z kolejnej ekspedycji na Spitsbergen, gdzie zajmowali się obserwacjami żerowisk dla ptaków i fok powstających przy szybko topniejących lodowcach. Kolejne dwa kilkusobowe zespoły, które realizują ten projekt, spędziły po dwa tygodnie (jedna grupa po drugiej) w jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie. W małej chatce traperskiej zbudowanej w latach pięćdziesiątych XX w. u podnóża imponującej, kilkusetmetrowej ściany Gnalberget (po norwesku znaczy to Góra Wrzasku).



Średniej wielkości statek z turystami na Spitsbergenie, tu płynie około 500 osób, ale pojawiają się pływające hotele dla 5000 osób, docierające w najbardziej dzikie i niedostępne zakątki. Fot. Jan Marcin Węśławski

Latem, przy słonecznej pogodzie tundra u podnóża skały jest zachwycająca. Gęste poduchy mchów i porostów, kolorowe kępy skalnic, stada bernikli i edredonów, a nad tym wszystkim, jak huk wodospadu, rozlega się krzyk kilkunastu tysięcy mew trójpalczastych, nurzyków i fulmarów gnieźdzących się na półkach skalnych. Z progu małej (cztery piętrowe koje) chatki widać fiord i fantastyczną panoramę lodowców i wielkiego masywu szczytu Hornsundtindt, najwyższego na południu Spitsbergenu. Krajobraz jak w najwyższych partiach Alp, do tego morze, po którym pływają białe wieloryby i foki, a co kilka dni można zobaczyć niedźwiedzia polarnego. Do najbliższych przedstawicieli *Homo sapiens* (Polska Stacja Polarna w Hornsundzie) trzeba płynąć godzinę łodzią lub przespacerować się cztery godziny przez lodowiec i dwie przełęcz. Spędziłem w chatce pod Gnałem wiele dni, o każdej porze roku, łącznie z nocą polarną, i miejsce to jest dla mnie uosobieniem

pojęcia „Wild life” - Dzikie Życie.

Zwykle czas spędzony na badaniach jest mocno wypełniony pracą. Chwila na refleksję i przeżywanie tego unikalnego miejsca przychodzi wraz z kubkiem gorącej herbaty wypijanej na progu chatki, gdzie nie wiadomo, czy patrzeć najpierw na skaczące z urwiska skalnego pisklęta nurzyków, pasące się w pobliżu gęsi czy na wynurzające się z morza białe grzbiety białuch. Wszystko to przeżywa się w małej grupie dobrze dobranych współpracowników i przyjaciół. Cały ten raj położony jest na niewielkim cypelku zbudowanym z wapiennych, kolorowych skał, z kilkoma miniaturowymi zatoczkami i setkami szkierów zalewanych przez morze - mniej więcej prostokąt o wymiarach 200 na 500 m. Wystarczy dla czterech osób, żeby poczuć się jak w niebie.

W tym roku jednak to poczucie rajskiej samotności zostało dość brutalnie zakłócone. Po kilkuletnich bojach z administracją norweską, operatorzy turystyczni uzyskali zgodę na lądowanie w najbardziej widowiskowych miejscach Zachodniego Spitsbergenu. Gnalberget znalazł się na liście najchętniej proponowanych atrakcji. I oto do rajku dotychczas przeznaczonego dla czterech osób, co kilka dni zawija statek i wysadza na ten maleńki kawałek lądu 150-200 osób, które spacerują pod klif zrobić zdjęcia ptakom, a zabytkową chatkę i półdzikich naukowców z największą przyjemnością filmują i fotografują, starając się zajrzeć do garnka i do wnętrza chatki, gdzie akurat połowa ekipy odsypia swój dyżur nocny.

Turyści są zdyscyplinowani i przestrzegają wszystkich zasad - nie hałasują, nie śmieją, pytają, czy można zrobić zdjęcie etc. Zapłacili furę pieniędzy, żeby zobaczyć Dzikie Życie. W krótkich rozmowach dopytują się o prowadzone badania i z dumą podkreślają, że nie należą do osób, które na starość tkwią przed telewizorem. Operatorzy turystyczni - przewodnicy grup, zwykle trzymają się z daleka od chatki i rozmów z naukowcami. Dominuje wśród nich opinia, że naukowcy zawłaszczyli sobie najpiękniejsze miejsca na świecie i krzywo patrzą na konkurentów, którzy utrudniają im pracę. Operatorzy zawsze podkreślają, że Przyrodę chroni się po to, żeby można ją było podziwiać - czyli pokazać z bliska ludziom. Jako naukowiec już chciałbym odpowiedzieć, że powinniśmy chronić Przyrodę tylko dla niej samej, bez znaczenia, czy ktoś ją będzie podziwiał, czy nie - ale muszę ugryźć się w język, bo w końcu sam jestem przykładem kogoś, kto z tej Przyrody korzysta i się nią cieszy.

W praktyce te problemy są rozwiązywane racjonalnie, administracja wyznacza obszary o określonej pojemności turystycznej - co oznacza z góry określoną liczbę ludzi, którzy mogą jednego dnia czy miesiąca odwiedzić takie miejsce. Ustala się to w negocjacjach nad wielkością obszarów podlegających ograniczeniom etc. Problem jednak pozostaje - najbardziej wyedukowana, świadoma przyrodniczo i jednocześnie zamożna część społeczeństwa chce aktywnie spędzać życie (zwykle już na emeryturze) i podziwiać te cuda Natury, na których ochronę poszły ich podatki.

Turystyka „eko” jest jednym z najszybciej rosnących sektorów w tym biznesie. Jak mi to z wyższością powiedział jeden z przewodników, plaże południowej Europy i system „all inclusive” są dla „niższej klasy”, a klasa wyższa pływa na statkach wycieczkowych do specjalnych miejsc - takich jak Arktyka i Antarktyka, albo bierze udział w wyprawach safari do Afryki, gdzie słucha wykładów o lokalnej przyrodzie i historii oraz aktywnie spędza czas.

Presja na pewno będzie się pogłębiać - rośnie liczba ludzi zamożnych, dysponujących wolnym czasem i rozbudzoną ciekawością świata. Natomiast maleje liczba wyjątkowych miejsc z widowiskową Przyrodą, w dodatku są to z reguły bardzo niewielkie miejsca - jak opisany we wstępie cypelek. Ograniczeniem jest tylko fizyczna dostępność dla szerszej publiczności - choć to też pojęcie względne, skoro na Mount Everest komercyjne grupy wspinaczkowe wprowadzają nawet osoby niepełnosprawne, a liczba zdobywców szczytu przekroczyła kilka tysięcy. Chyba ostatnim zasobem Dzikiej Przyrody, którą chronimy dla niej samej, są głębokowodne zbiorowiska fauny przy wysiękach wulkanicznych - fantastyczne, kolorowe i wielkie zwierzęta, które inspirowały Camerona przy

projektowaniu planety w filmie „Avatar”. Tam, na głębokość 2-3 tysięcy metrów, może dotrzeć tylko kilka (dziś nie więcej niż trzy na świecie) załogowych pojazdów podwodnych – a prawie wszystko co, o tym alternatywnym świecie wiemy, pochodzi z filmów i zdjęć zebranych przez autonomiczne roboty podwodne. To ostatni przykład Dzikiego Życia, z którego nie możemy bezpośrednio korzystać ani go dotknąć, ale możemy się nim zachwycać przed ekranem telewizora.

Prof. Jan Marcin Węsławski